ANIOŁ STRÓŻ
Gazeta dla dzieci.
Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.
Rok 1 CHOJNICE, dnia 8-go maja 1924 r. Nr. 6

Ufność wynagrodzona.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Pewnego wieczora letniego szedł młody człowiek odludnem traktem we Węgrzech. Był to rzemieślnik, który w najbliższem mieście otrzymać miał stałe zatrudnienie. Był to dzień skwarny i z radością powitał Jan — tak było na imię młodzieńcowi — mrok wieczorny, bo razem ze słońcem, które w purpurowej szacie zachodziło za górami, szarzejącemi z dala na widnokręgu, znikał także upał dzienny, który znużonemu wędrowcowi wielce dopiekał.

Droga spuszczała się teraz ku pięknej zielonej dolinie, w której w oddaleniu jednej ćwierci mili las roztaczał się gęsty. Na krańcu lasu mała stała kapliczka, ozdobiona wizerunkiem Ukrzyżowanego i innemi obrazami Świętych. Na krzyżu zawieszony był świeży kwiatów wieniec, który pobożna ręka niedawno tam widać złożyła. Jan pomodlił się cokolwiek i szedł dalej. Gdy już daleko zaszedł w las, usłyszał gwar kilku głosów. Przystanął i spojrzał ku stronie, skąd głosy się zbliżały. Ogarnęła go przytem pewna trwoga, której się nie mógł opędzić. Niezadługo też wyjaśniła się mu przyczyna tej trwogi, bo z po za krzaków wyskoczyło kilku dzikich zbrojnych ludzi i rzuciwszy się na bezbronnego młodzieńca, zawlekli go z sobą w las.

Jan poznał okropność swego położenia: wpadł on w ręce rabusiów. Podczas gdy go przez gęstwinę gwałtem uprowadzili, wołał Jan kilkakrotnie o pomoc, ale głos jego przebrzmiał daremnie. nikt z ludzi go nie słyszał, lecz sam tylko Bóg, przed którym nic utaić się nie może.

I w Bogu też Jan ufność swoją położył, tak to czynił od samej młodości, Jego woli się poddał w cichej modlitwie, przyjmując bez szemrania wszystko, cobykolwiek spotykać go mogło. Coraz gęstszym stawał się las i z trudnością tylko zdołali rabusie przezeń się przedrzeć.

Tymczasem zupełnie się ściemniało, a Jan nie zdołał już żadnego rozróżnić przedmiotu. Naraz jasna uderzyła go światłość. W pośrodku małej gołaźni wśród lasu, pod rozłożystym dębem, którego konary nad całą prawie roztaczały się gołaźnią, wielki palił się ogień, około którego kilka leżało osób.

Na widok przybywających zerwali się na nogi i z dzikim krzykiem pobiegli im naprzeciw. Byli to także opryszki, którzy się radowali z tego, że towarzysze ich pochwycili zdobycz

Jana przyprowadzono przed herszta, który pozostał był przy ogniu. Herszt, silnie zbudowany mężczyzna z ognistem spojrzeniem i złowrogim wyrazem twarzy, podniósł się i zmierzył Jana zasępionym i nic dobrego nie zapowiadającym wzrokiem.

Poznał też Jan zaraz, że od tego człowieka niczego dobrego spodziewać się nie może. Nie długo trwało, a odebrano mu wszystko, co miał, wszystek zaoszczędzony grosz, którego było niemało, poczem odezwał się herszt do Jana:

— Musisz umrzeć, abyś nas nie zdradził. Umarły nie gada.

Jan zbladł na te słowa, a trwoga malowała się na jego obliczu. Któżby w podobnym przypadku mógł być obojętnym. Po kilku minutach jednakże zapanował nad sobą i uspokoił się zupełnie Nie zdradzając najmniejszej trwogi, patrzał spokojnie w oczy hersztowi, który zdziwiony zapytał:

— Albo mię nie rozumiałeś, albo jesteś głuchym, bo nie rozumiem, jak możesz być tak spokojnym.

— Rozumiałem dobrze, — odrzekł Jan spokojnie, — słyszałem, że mam umrzeć. Chcecie popełnić wielką zbrodnię, chcecie mię zgładzić ze świata, abym nie mógł wystąpić jako wasz oskarżyciel. Ale ja się nie boję, — dodał podniesionym głosem, — możecie mi grozić, jak wam się podoba. Życie moje w ręku jest Boga i bez Jego woli nic mi się złego nie stanie. Jeżeli taka wola Boga, abym teraz zeszedł z tego świata, natenczas jej się poddaję, a jeżeli Pan Bóg nie chce, abym umarł, natenczas pomimo waszych zamysłów nic mi złego nie będziecie mogli zrobić?

Na te słowa milczał opryszek przez chwilę i potem się odezwał:

— Czy to twoje wewnętrzne przekonanie, co powiedziałeś?

— Tak jest.

— I sądzisz, że nic ci złego zrobić nie mogę, jeżeli tego Pan Bóg nie chce?

— Nie inaczej

— Wierzysz, że Bóg widzi wszystko i wszędzie się moc Jego rozciąga?

— Wierzę.

— A jeżeli cię pomimo to zastrzelę?

— Mogę to tylko powtórzyć, co już powiedziałem: chyba taka wola Boża; bez niej włos mi z głowy nie spadnie.

Opryszek potrząsł głową. Nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć człowieka, króryby tak był spokojnym w obec grożącej mu śmierci. Po chwili namysłu podniósł fuzją i mierząc do Jana, rzekł:

— A więc umieraj!

Spokojnie odpowiedział Jan:

— Niech się dzieje wola Boża. Gdyby Pan Bóg nie chciał, abym umarł. mógłby cię w tej chwili powalić o ziemię i nagłą ukarać śmiercią. Albo więc wypełnisz wolę Bożą, albo też doznasz w swym zamiarze przeszkody, ale wbrew woli Boga mię nie zabijesz

Opryszek opuścił broń — nie mógł strzelić. Niezachwiana ufność Jana rozbroiła go zupełnie i odebrała mu odwagę popełnienia zbrodni. Długo wpatrywał się w Jana, potem rzekł:

Więcej jak jednego człowieka życie mam na swojem sumieniu. Nie wiem skąd to pochodzi, że tobie nic złego zrobić nie mogę — nie mogę, chociaż chciałem doprawdy!

I stała się rzecz niesłychana: Opryszek nietylko bez przeszkody pozwolił mu iść dalej, puszczając go wolnego, ale nadto oddał mu wszystko, co mu był zabrał.

Dwadzieścia lat upłynęło od owego czasu, — Jan był dobrym i zamożnym rzemieślnikiem. Dzieciom swoim i wszystkim, którzy go znali, opowiadał często tę historją, że tylko niezachwianej swej ufności w Bogu zawdzięcza, że uszedł niechybnej śmierci.

Szczepan.

(Wielkolud.)

Przed laty żyło dwuch ludzi, którzy posiadali syna, któremu na imię było Szczepan. Miał już osiemnaście lat, lecz nigdy jeszcze z łóżka nie wstał. Pewnego pięknego dnia mówi do niego ojciec: „Szczepanie, wstawaj, nadszedł chyba już nareszcie czas, gdzie wypada pomyśleć ci o pracy". Szczepan wstał i wynajął się jako parobek u gospodarza w okolicy. Jako zapłatę wymówił sobie ładunek żyta, który miał otrzymać po rocznej służbie. Dalej, że nigdy przed godziną czwartą wstawać nie będzie potrzebował, i że będzie mógł jadać, ile zechce. Gospodarz na te warunki się zgodził.

Następnego dnia musieli wszyscy mieszkańcy już o godzinie drugiej wstawać, gdyż mieli przywieźć z lasu dębinę. Gospodarz wołał także Szczepana, lecz ten stawił się głuchym i nie wstał ani minuty prędzej ani później jak o oznaczonym czasie. Gospodyni go wołała, aby przyszedł kluski jeść i też postawiła mu należytą porcję. — „Co"? krzyczał Szczepan, „to jest wszystko"? „Mnie potrzeba całego kotła klusek i cztery bochenki chleba"! Gospodyni aż się przeraziła. Ponieważ jednak jej mąż przyrzekł słudze jeść wedle głodu, więc musiała mu dać tyle, ile żądał.

Gdy Szczepan się najadł, rozkazał mu gospodarz zabrać pięć najlepszych koni z stajni, wyprowadzić, zaprządz do wielkiego wozu i jechać w las szukać reszty parobczaków. Szczepan wziął najlepsze konie i jechał w las, lecz nie fatygował się szukaniem reszty parobków. Wyrwał cztery dęby, wpakował na wóz i chciał z powrotem jechać, lecz konie nie były w stanie wozu z miejsca ruszyć. — „Co, wy nie chcecie ciągnąć" — krzyczał Szczepan, — Wpakował jeszcze jeden dąb, potem jeszcze jeden i zaczął śmigać konie. Lecz wszystko krzyczenie i bicie nic nie pomagało, konie nie ruszyły z miejsca. Wyprzągł je, władował je także na wóz i sam zaciągnął wóz na gospodarstwo. Reszta parobków, którzy już przed Szczepanem do lasu wyruszyli, przyszli, ponieważ mieli ogromne skały na przeszkodzie, dopiero daleko później do domu.

Gospodarz był zastraszony tem, że w jego służbie znalazł się człowiek, który okazywał tak wielką siłę. Wysłał on Szczepana, aby ściął mu las, do czego potrzeba by było dziesięć dni pracy. Lecz musi się z tem uporać przed wieczorem, inaczej go wyrzuci. Szczepan poszedł do lasu i usiadł się pod wielkiem drzewem. Gdy mu pod obiad służąca przyniosła pełen kocieł klusek, zastała go śpiącym. — „Co, tyś jeszcze nie zaczął pracować?" pytała się go. — „Pilnuj kuchni, a nie troszcz się o moją robotę" odpowiedział jej Szczepan. — Gdy mu podwieczorek przyniosła, zastała jeszcze wszystko przy starem, lecz przed wieczorem cały las był ścięty i Szczepan wrócił do domu. Gospodarz nie mógł wyjść z podziwu.

Następnego dnia rozkazał Szczepanowi przepędzić noc całą w młynie, w którym straszyło i z którego nikt jeszcze żyw nie wyszedł. Szczepan poszedł pod wieczór do młyna i urządził się po domowemu w kuchni. O północy słyszał brzęk kajdan. Djabeł złaził codopiero przez komin. „Co ty tu chcesz", pytał się go Szczepan. Nie czekając odpowiedzi zabił go. Następnego poranku wrócił znów cały i zdrów na gospodarstwo.

Ponieważ gospodarz nie wiedział, jak się go pozbyć, posłał go z listem do swego syna, który we wielkiem mieście dowódcą był. 30 mil było tamdotąd. Szczepan wziął konia, niósł go 15 mil na swych barkach, następnie wsiadł na niego i przebył resztę drogi. Gdy przybył na miejsce, oddał list w ręce dowódcy. W liście tym stało, że miano Szczepana dobrze przyjąć, dać mu do jedzenia, ile chciał, lecz go w końcu przy sposobności zabić.

Pewnego dnia, gdy Szczepan na przechadzce był, strzelił do niego dowódzca. Lecz Szczepan się tylko otrząsł i szedł spokojnie dalej. — „Jak się masz?" zapytał się go dowódzca. — „Zupełnie dobrze, gdyby nie te muchy, które mi się naprzykrzają, ale zresztą nie szkodzą." — Dowódzca kazał teraz z armat na niego strzelać, lecz z tym samym skutkiem. Sprzykrzyła mu się w końcu ta walka i posłał Szczepana z powrotem do gospodarza.

Ten kazał teraz Szczepanowi 500 stóp głęboką studnię, która już od 500 lat była zasypaną, w porządek wprowadzić. Szczepan niedługo to zrobił. Podczas gdy był jeszcze w studni zajęty, zrzucono na niego 1000-funtowy kamień młyński, kamień ten miał w środku dziurę i tak spadł Szczepanowi akurat na szyję i tworzył znakomity kołnierzyk. Jemu samemu zaś nic się nie stało. Zrzucono jeszcze dodatkowo 20 000 funtów ciężki dzwon na jego głowę. Wszyscy myśleli, że już go teraz zabito, lecz niedługo wyszedł Szczepan ze studni, złożył z głowy dzwon i mówił: „Tu jest moja nocna czapka, nie pobrudźcie mi jej"! Złożył z siebie także kamień młyński i rzecze: „Tu jest mój kołnierzyk, muszę go sobie zachować na przyszłą niedzielę! „Ale mój kochany gospodarzu, rok już upłynął, czy prawda?" „Tak" odpowiada gbur. „To daj mi ładunek żyta, który sobie wynająłem".

Dano mu dwa miechy. „Co to ma znaczyć", wołał Szczepan. Ja mogę więcej unieść. Przyniesiono dalszych osiem miechów. „To ja poradzę małym paluszkiem". Teraz mu gospodarz oświadczył, że więcej mu nie daje, jak sto miechów. Szczepan był z tego zadowolony, wpakował na siebie wszystkie worki i wrócił do swych rodziców.

Rózga.

„Czy to prawda Mamo miła
Co mi Kasia dziś mówiła,
Że brzoza jest tylko na to
By z niej w wiosnę, jesień, lato,
Matki rwały gałązeczki
Dla swych dzieci na rózeczki?"
„Brzoza rośnię drogie dziecię,
Tąk jak inne drzewa w świecie,
Dla osłony swoim cieniem
Przed upałem i znużeniem.
Wszak ty dotąd Jadziu mała
Z rózeczką się nie poznała?"
— „Nie mateczko, ale ona
Tam w kąciku postawiona
Pewnie dla mnie." — „Ona wisi
Na przestrogę dla Jadwisi,
By wiedziała w każdej porze
Że i rózga zdać się może
Gdy kto złego przejdzie miarę:
Ale Jadzia na tę karę
Nie zasłuży ostateczną,
Ona będzie zawsze grzeczną.